WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"

Nr 52 (222)

Rok V

31 XII 1965 r.

EMIL GRANAT

ZEGARY

Łowię reminiscencje tamtych odległych przejść —
motyle zabłąkane na przekwitłych astrach.
Przemijania spiętrzone nalotami syren,
wczorajsze fotografie — zatrzymane w ucieczce
chwile, oznaczone cyframi na rozumnych tarczach
zegarów.

Nawołuję melodie naprężone na strunach
ocalałych w pęknięciach zwalonych sufitów,
unoszę słowa uratowane z pożarów jak dzieci,
słyszę tętent ojczyzny okulbaczonej na gruzach
słyszę tętent historii...
Poznaję cwałujące mustangi Amazonek
poznaję ból wypalanych piersi —
mity uwięzłe w napiętych cięciwach
łuków.

Czuję smak krwi i zapach,
obłąkane nad popiołami dymy.
Widzę bunt przeciw śmierci
umierających
i niemowląt.

I nic nie mogę, tylko krzyczę
idąc przetrwałymi śladami grozy,
której nie wolno powtórzyć
w żadnym znaku wskazówek.

Z zagadnień humanizacji pracy

Artykułem — „Wątpliwości i propozycje" kończymy cykl publikacji red. ZDZISŁAWA KOZIOŁA, poświęcony zagadnieniom humanizacji pracy. Zarówno redakcja, jak i autor traktują te artykuły jako zagajenie dyskusji. Na naszą propozycję odpowiedzieli już czytelnicy przysyłając nam swoje uwagi. Udział w dyskusji zapowiedzieli m. in. dziennikarze oraz lekarze.

Oczekujemy na głosy inżynierów i dyrektorów przedsiębiorstw, a przede wszystkim aktywistów społecznych: partii, związków zawodowych oraz samorządów robotniczych. Nadesłane listy będziemy publikować bądź też zawarte w nich wnioski i postulaty przekażemy zainteresowanym władzom czy instytucjom.

Listy prosimy kierować pod adresem redakcji „Nowiny Rzeszowskie" („Widnokrąg") z dopiskiem na kopercie „Humanizacja pracy".

REDAKCJA

ZDZISŁAW KOZIOŁ

WĄTPLIWOŚCI I PROPOZYCJE

MOTTO:

„Człowiek jest najważniejszą istotą dla człowieka. Stąd kategoryczny nakaz obalenia wszystkich stosunków, w których człowiek jest istotą poniżoną, ujarzmioną, opuszczoną i pogardy godną".

KAROL MARKS

JEDEN Z DYREKTORÓW, gdy usłyszał o wpływie kolorystyki pomieszczeń na samopoczucie robotników, zawarł z plastykami umowę, zapłacił 250 tys. złotych; plastycy ściany pomalowali, a pan dyrektor zameldował centrali, że zakład zhumanizował. Należy powątpiewać czy rzeczywiście samopoczucie robotników polepszyło się, bo przedsiębiorstwo, z uwagi na stan bezpieczeństwa i higieny pracy, kwalifikuje się podobno do zlikwidowania, a i pod względem organizacji pracy oraz stosunków w nim panujących też sporo pozostawia do życzenia.

O zakładzie tym słyszałem od jednego z lekarzy, który n. b. wysunął sporo zastrzeżeń podważających sensowność pojęcia humanizacji pracy. Zastrzeżenia te wynikają raczej z nieporozumień — a wspomniany zakład, prawdopodobnie nieodosobniony, miał być niejako koronnym dowodem. Lekarz ten jest zwolennikiem ergonomii, i w ergonomizacji materialnego środowiska pracy widzi rozwiązanie wielu zagadnień, o których mówią entuzjaści humanizacji. Ale o tym za chwilę.

Zanim o wątpliwościach i propozycjach, nieodzowne jest wspomnieć o sprawach ogólniejszych, w pewnym sensie teoretycznych, głównie z zakresu filozofii, ale tylko o tyle, o ile jest to konieczne w artykule bynajmniej nie teoretycznym.

Jak już pisałem („Polskie eksperymenty", „Widnokrąg" nr 50), wokół humanizacji pracy toczy się od lat ożywiona dyskusja, przy czym rozróżnia się humanizację „małą" i „wielką". Humanizacja „mała" oznacza po prostu udoskonalenie fizycznych i socjalnych warunków pracy, co nie jest bynajmniej — zarówno z punktu widzenia teoretycznego, jak i praktycznego — sprawą prostą.

Humanizacja „wielka" to zagadnienie szczególnie skomplikowane i kontrowersyjne. Jako najbardziej zwięzłą przyjmujemy definicję następującą: humanizacja „wielka" w rozumieniu marksistowskim oznacza przeciwdziałanie alienacji, a zwłaszcza alienacji pracy oraz ukształtowanie stosunków międzyludzkich w myśl ideałów socjalistycznych. Alienacja zaś, czyli wyobcowanie, to proces, w którym pewne wytwory człowieka odrywają się od niego, nabierają niejako życia samodzielnego i człowiek, zamiast widzieć w nim swoje dzieło, zaczyna uważać je za siły obce, wyższe od niego, panujące nad nim. Mówimy np. o alienacji religii, pracy, państwa... Termin ten przyjęty przez Marksa od Hegla jest ostatnio szeroko używany.

Przed paru laty prof. Julian Hochfeld postawił m. in. pytanie: „Jakie dziś wysuwają się warunki i granice wyzwolenia pracy z pęt alienacji, perspektywy humanizacji pracy, możliwości afirmacji ludzkiej osobowości poprzez pracę?". Rzecz w tym, aby przezwyciężyć zjawiska, „które tylko na gruncie ideałów obcych socjalizmowi, uważać się zwykło za nieunikniony koszt umasowienia cywilizacji". („Dwa modele humanizacji pracy"; „Kultura i społeczeństwo", nr 3/1961).

Istotne aspekty tego złożonego problemu podjął prof. Adam Schaff w wydanej niedawno książce: „Marksizm a jednostka ludzka". Książka oraz dyskusja wokół zagadnień poruszonych w niej („Nowe Drogi", nr 12) wyjaśnia szereg ważnych spraw, a także zachęca do dalszych poszukiwań teoretycznych. Nadmienię, że sporo tez zawartych w tej pracy poddano krytyce, co nie oznacza bynajmniej negowania wartości książki.

Na tym w zasadzie poprzestanę w przekonaniu, że jeżeli czytelnik zechce zapoznać się z zagadnieniami alienacji i jej przezwyciężania w socjalizmie, to sięgnie po książkę prof. Schaffa oraz grudniowy numer „Nowych Dróg". Osobiście bardzo zalecam tę lekturę; wydaje mi się bowiem, że rozwiązując sprawy dnia powszedniego praktycy nie doceniają teorii, przy czym mam na uwadze tę teorię, która jak najbardziej służy praktyce.

Wspominam o tym chociażby dlatego, by podkreślić doniosłość problematyki humanizacji pracy. Przecież nieprzezwyciężone są jeszcze pewne zjawiska właściwe dawnemu ustrojowi, co — w powiązaniu niejako z ubocznymi skutkami wielkich przeobrażeń społecznych — nastręcza niemało trudności, z którymi często nie wiadomo jak sobie radzić.

Wspominam o tym i dlatego, że niejeden humanista, przerażony niepożądanymi skutkami współczesnej cywilizacji dochodzi do pesymistycznych wniosków. Z drugiej zaś strony wielu techników przeżywa proces dehumanizacji. A przyszłość ludzkości uzależniona jest od współdziałania techników i humanistów.

I znów problem teoretyczny. Zilustruję go przykładem z II wojny światowej. Przemysł lotniczy USA podjął ma ową produkcję samolotów; każda seria pod względem technicznym była doskonalsza; ale nowe aparaty z niewiadomych konstruktorom przyczyn ulegały tragicznym katastrofom. Piloci ginęli, i to nie od ognia hitlerowskich baterii przeciwlotniczych... O wyjaśnienie zwrócono się do psychologów. Okazało się, że obsługa tych aparatów przerastała możliwości pilotów. Człowiek nie umiał zapanować nad produktem wytworzonym przez innego człowieka.

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Z zagadnień humanizacji pracy

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Współpraca amerykańskich konstruktorów i psychologów dała początek ergonomii, nauki, która zajmuje się przezwyciężeniem alienacji w dziedzinie techniki; ujawnia sprzeczności między człowiekiem a maszyną oraz całym zespołem czynników materialnych w procesie pracy. Punktem wyjścia dla ergonomii jest człowiek, a cel — dostosowanie techniki do człowieka. Ergonomiści nie przeczą, że od postępu technicznego zależy materialna egzystencja ludzkości, ale w ostatecznym rachunku myśl techniczna musi być podporządkowana humanistycznej.

Przykłady na poparcie tej tezy można mnożyć. Wspomnę o jednym. Polscy inżynierowie skonstruowali rewelacyjną obrabiarkę, która wzbudziła duże zainteresowanie na międzynarodowych targach. Nikt jej jednak nie kupił, bo konstruktorzy zignorowali... wprost człowieka; mógł ją obsługiwać robotnik mierzący co najmniej 1,80 m.

Lekarz, o którym już nadmieniłem twierdzi, że znane mu zakładowe programy humanizacji pracy są czynnikiem potęgującym nieporozumienia. Istotnie nieporozumień jest sporo. Wydaje mi się, że jego propozycje, są właśnie punktem wyjścia do humanizacji pracy. Twierdzi np., że konflikt między człowiekiem a maszyną jest często następstwem nieświadomości w jakich sytuacjach robotnik męczy się niepotrzebnie, traci czas i siły, w efekcie jest mniej wydajny, a co najważniejsze — zapada na groźne nieraz choroby zawodowe. Proponuje, by każde stanowisko robocze wszechstronnie zbadała komisja z udziałem lekarza, ekonomisty, inżyniera, i ewentualnie psychologa. Gdy usłyszałem tę propozycję, stanęły mi przed oczyma liczne zakłady produkcyjne, usługowe, sklepy itp. Dla realizacji tego wniosku trzeba kampanii społecznej, którą warto podjąć. I to jest jednym z istotnych punktów zakładowego programu humanizacji pracy.

Entuzjaści powołując się na analizy ekonomiczne dowodzą, że opłaca się humanizować pracę, bo przynosi to poważne korzyści w postaci chociażby zwiększonej wydajności. Ten aspekt zagadnienia, niewątpliwie godny uwagi, jest podnoszony także przez zachodnią socjologię niemarksistowską. Socjalizm ma stworzyć warunki do wszechstronnego rozwoju człowieka. Postęp techniczny, skracanie dnia pracy, czynienie pracy lżejszą, czy stopniowa likwidacja różnic między pracą fizyczną i umysłową — jak pisze prof. Hochfeld — „potencjonalnie daje możliwość poświęcania coraz większej ilości wolnego czasu sprawom publicznym i zainteresowaniom kulturalnym". Różnice są więc zasadnicze, przy czym nasz model humanizacji pracy jest jeszcze modelem idealnym, do którego się dąży.

O niektórych zakładach mówi się, że panuje w nich „absolutyzm oświecony", innowacje wprowadzane są zarządzeniem. Kulturalni i wykształceni k i e r o w n i c y są niezbędnie konieczni, ich wiedza, umiejętności i osobowość wywierają poważny wpływ na przedsiębiorstwo, a także pracujących w nich ludzi, ale mają rację ci, którzy podkreślają wagę czynnika społecznego w opracowywaniu i realizacji programów humanizacji pracy. Zdarza się bowiem, że „nowe porządki" są w rzeczywistości „figowym listkiem" dla uspokojenia wrażliwych sumień, snobistycznym uleganiem modzie.

I to podkreślają sceptycy. Ja też, lecz z odmiennych pozycji. Sceptycy mówią, że pokój „relaksowy", gimnastyka, odpowiedni sprzęt, lusterko na stanowisku roboczym, przy którym pracują kobiety, oświetlenie, wentylacja itp. to sprawy oczywiste; by je załatwić nie potrzeba aż zakładowego programu humanizacji pracy. Leży to m. in. w kompetencji służby bhp. Związki zawodowe zaś mają obowiązek egzekwowania od pracodawcy respektowania przepisów wydanych przez Państwo Ludowe z myślą o obywatelu.

Entuzjaści, którzy w humanizacji pracy widzą rozwiązanie nabrzmiałych problemów społecznych w przedsiębiorstwie, replikują, że na wzmiankę o służbie bhp ludzie zwykli reagować tak, jak widzowie w kinie oglądając reklamę antyalkoholową — po prostu śmieją się.

Inne nieporozumienie. Będziemy humanizować pracę, a poza zakładem... I tu następuje wyliczanie grzechów głównych i tych pomniejszych, pretensji często słusznych. ale czy biernością wobec niehumanitarnych warunków pracy powiększać je? Pytanie retoryczne.

Entuzjaści podkreślają rolę psychologów i socjologów fabrycznych. Może ona być bezsprzecznie duża jeśli stworzy im się odpowiednie warunki do pracy i działalności. A to już zależy od pracodawców i zakładowych instancji przedstawicielskich. W Polsce pracuje bodajże 55 socjologów zakładowych, a zakładów jest tysiące... Są przedsiębiorstwa, w których psycholog nie wie co ma robić, bo jego usług nikt nie potrzebuje, a jeśli podejmuje działalność, to zdarza się, że popada w konflikt z pracodawcą nie zainteresowanym ujawnianiem konfliktów i sprzeczności.

W rejestrze wątpliwości i zastrzeżeń nie można pominąć swego rodzaju mody na socjologię i psychologię. Niektórym wydaje się, że okraszenie referatu czy przemówienia nieznaną w tym środowisku terminologią jest świadectwem „uczoności". Pogoń za atrakcyjnością, a może świadomość dewaluacji dotychczas używanych słów?

Jakim źródłem poznania rzeczywistości są np. ankiety rozpisywane przez amatorów? Dotarły w tym roku do mnie dwie. Szkoda, że ich autorzy przegapili słynną dyskusję o „ankietomanii", która toczyła się na łamach „Polityki". Nie będę z nazwy wymieniał zakładów, w których tę parodię badań przeprowadzono. Podobno przyświecał zbożny cel, lecz popełniono zasadnicze błędy, m. in. nie określono właściwie tematu badań; wadliwie zbudowano kwestionariusz stawiając pytania niejasne lub z góry sugerujące odpowiedź. Opracowanie zaś zebranego materiału było dowolne; nasuwa się anegdota o Heglu, który na uwagę, że jego teoria jest sprzeczna z faktami, miał odpowiedzieć: „tym gorzej dla faktów".

A program pozytywny? W Hucie im. Lenina przy KZ PZPR działa komisja socjologiczna, w której skład wchodzą nauczyciele szkół fabrycznych, inżynierowie, ekonomiści, psycholog, socjolog i lekarz. Łącznie bodajże 12 osób. Praca w komisji jest społeczna. W 18 jednostkach produkcyjnych Huty powołano 3-osobowe zespoły wykonujące zlecone przez komisje zadania. Badano m. in. strukturę załogi, adaptację kulturalną robotników czy obciążenie zebraniami poszczególnych grup pracowników. Tematy — realizowane bądź samodzielnie bądź wspólnie z katedrami instytutów i uczelni — jak najbardziej związane z konkretnymi potrzebami przedsiębiorstwa. Dodam, że roczny budżet komisji wynosi 36 tys. zł.

Przykładem kompleksowego rozwiązywania wielu problemów jest także i to, że w Hucie znajduje się Katedra Medycyny Pracy Akademii Medycznej finansowana przez Hutę. Organizowany jest także ośrodek ergonomiczny. Dla zapoznania zaś katedry kierowniczej ze sprawami l u d z k i m i powołano 2-letnie studium humanizacji pracy.

Wydaje się, że przy opracowywaniu zakładowych programów humanizacji pracy zbyt często, każdy na własną rękę, ponownie „odkrywa Amerykę". Chodzi o informację i wymianę doświadczeń, a także inspirowanie inicjatyw oraz koordynację poczynań. Niektóre resorty podjęły w tym kierunku starania, ale czy na miarę potrzeb? W wielu wypadkach funkcje te z powodzeniem spełniają instancje partyjne, np. komitety wojewódzkie w Katowicach, Wrocławiu i Łodzi czy warszawskie komitety dzielnicowe: Praga — Południe i Warszawa — Śródmieście. A czy wykorzystane są w tym zakresie możliwości związków zawodowych. Pytań nasuwa się sporo i każde jest tematem do dyskusji, która w sprzyjających warunkach — a takie chyba w naszym województwie są — przyczyni się do rozwiązania wielu niełatwych problemów społecznych.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

ROMAN TUREK

Wiedźma

A JA BĘDĘ HRABIEGO syna uczyć! — wpadła jak bomba i rzuciwszy niewielki, szkolny tornister z niewielu jeszcze przyborami i potrzebami naukowymi, pasjonującym głosem oznajmiła tę nie do wiary wieść rodzicom.

Krzątająca się przy kuchni matka zdrętwiała. Młode i świeże jeszcze, rumiane policzki przybrały kolor bielonej wapnem ściany, opuszczone dłonie dygotać poczęły; wielkie szczęście, że nie trzymały w tej chwili dziurkowanej miski glinianej z zacierką, bo ani chybi wysunęłaby się jej z palców, upadłaby na ziemię i strzaskała się w drobne skorupki jak amen w pacierzu. Bardziej hartowny i od nagłych przypadków uodporniony ojciec odłożył na bok z zajęciem czytaną książkę, spojrzał na oczekującą reakcji z tytułu tej nowiny córkę i pokręciwszy głową mruknął:

— No, no...

Matka dziewczęcia była jednak kobietą. Nie wystarczały jej dwie jakieś tam sylaby do zaspokojenia ciekawości i przejścia do porządku nad wieścią tej miary; no, wprost hiobowej. Niechając zatem przynależne jej obowiązki, bagatelizując kipiącą w garnkach na kuchni strawę, pochyliła się ku dziewczęciu pytając roztrzęsionym z przejęcia głosem:

— Co też ty dziecko opowiadasz cuda nie wida: jak to, ty uczyć? hrabiowskiego syna?

— Ależ, to prawda mamo, najprawdziwsza prawda. Będę uczyć Stasia, syna hrabiego Jerzego, co go to w pałacu łańcuckim u babki starej hrabiny rodzice na kilka miesięcy zostawili. Była hrabina babka u siostry przełożonej naszego pensjonatu ⁋ szkoły, i poleciła jej wybrać spośród uczennic klas najniższych jedną taką, która by się do towarzystwa hrabiowskiemu dziecku nadawała, była wesoła, muzykalna i polskim językiem pięknie mówiła. No i siostra przełożona wybrała mnie i hrabinie mnie przedstawiła. Spodobałam się pewnie, bo zostałam przyjęta.

Gdyby się w tej chwili przed matką Lusi niebo otwarło najwyższe łaski na głowę jej zsypując, nie czułaby się tak oszołomiona i szczęśliwa. Upadła na krzesło całym ciężarem bezwładnie słaniającego się, młodego i prężnego jeszcze ciała i załamując ręce na piersiach odezwała się głosem wzruszonym i dziękczynnym:

— Boże miłosierny! Moje dziecko, syna hrabiego... Uczyć! A po krótkim milczeniu zwróciła się do dziewczęcia:

— To jak Lusiu, rozmawiałaś z samą hrabiną?

— No tak mamusiu, gadałam z nią tak jak teraz z wami. Przykazała mi się kręcić wkoło, oglądała mnie z wszystkich stron, a potem dłonią pod brodę mnie ujęła i twarzy mojej przyglądała się długo.

— To znaczy szacowała cię jak ślepy Herszek konia na targowicy przed kupnem — wyrwał się ojciec z określeniem.

— E, bo tatuś — skrzywiło się dziecko; nie dała jej jednak dokończyć zdania matka.

— Ty zawsze ze swymi herezjami womieszać się musisz gdzie nie potrza — natarła na męża z pasją. — Boże święty! Dziecko jego spomiędzy tylu setek młodzieży wybrane takiego szczęścia dostąpiło, a ten z targowicą i kaprawym Żydem za jedno równa. Cicho Lusiu, nic już o tym tatusiowi nie mów. Mnie jeno opowiedz, bom bardzo ciekawa. To jak ta hrabina wygląda?

— E mamo, żeby była trochę ładniejsza, do naszej babki z Woli byłaby podobna. Nogi ma jakieś takie krzywe trochę jak nasza babka i całkiem podobniuśkie przygarbienie na plecach. Tyle, że u babki naszej głowa od karku się zaczyna, hrabinie znowu gdzieś tak jakby zaraz z ramion wyrastała. Taki ma kark krótki, ale gruby za to i szeroki.

— Ależ dziecko, co opowiadasz? Hrabina to przecie księżniczka i z cesarskimi rodami jest spokrewniona. Gdzieżby do prostej baby ze wsi była podobna — prostowała wywody dziewczęcia matka, zszarzałym trochę i zawiedzionym głosem.

— Tego to ja tam nie wiem mamo, ale hrabinę widziałam z blisko i głos jej słyszałam. W gardle chrypi jej trochę, na gębie też nieładna. Zapudrowana do białości, rumieńce jakby farbą policzki były pociągnięte. A oczy! Złe, laboga aż strach w nie spojrzeć. Patrzy i wierci nimi człowieka jak świderkiem. Nie gorzej od straganiarki, co pierniki pod budką na mieście sprzedaje i strze-

CECYLIA BŁOŃSKA

BASY z arki NOEGO...

Nie, to nie nazwa masywnego instrumentu muzycznego, nieodłącznego atrybutu wesołej kapeli. Basy to nazwisko żydowskich cyrkowców, mieszkańców małego Będzina, bohaterów tytułowego opowiadania z wydanego ostatnio przez PIW zbioru Stanisława Wygodzkiego.

Autor „Basów" pochodzi z Będzina gdzie uczęszczał do gimnazjum, z którego w r. 1924, przed samą maturą usunięto go za działalność komunistyczną. Stąd też i to pierwsze, najobszerniejsze (119 stronic) opowiadanie, zawiera wielki ładunek osobistych wspomnień pisarza, pełne jest głębokiej wiedzy o tym miasteczku, nękanym jak i wszystkie inne w okresie międzywojennym ciężkimi kryzysami, uporczywym bezrobociem, a równocześnie przepojone głębokim liryzmem, serdecznym, żywym uczuciem ku tym wszystkim ubogim, lecz walczącym, wyniszczanym nędzą, lecz bynajmniej nie poddającym się.

Akcja toczy się wokół B A S Ó W, ludzi mocnych, zawziętych, uprawiających na ubogich podwórkach magię cyrku. Stary Bas, zapalony cyrkowiec, akrobata, niewątpliwie znakomity fachowiec i jego dorośli synowie wegetują w skrajnej biedzie, żyjąc za marny grosz rzucony od czasu do czasu z otwartego okna, z którego częściej dziecko, rzadziej dorosły oglądać chce zaimprowizowane sztuczki cyrkowe, prezentowane w trykotach, z przenośnym cyrkowym sprzętem, na wytartym dywaniku, rozkładanym wprost na zabłoconych kamieniach.

Nędza trapi nie tylko cyrkowców Basów, jest nieodłączna od egzystencji będzińskich robotników, transportowców, tragarzy, krawców. Każe im myśleć o drogach wyjścia z niedoli, pobudza do walki; tworzą się związki zawodowe, komunistyczna partia wciąga w swe szeregi bardziej uświadomionych. I jeden z Basów, porzuciwszy zwodniczy zawód cyrkowca, związany miłością z dziewczyną z innego środowiska, z piękną, złotowłosą Helcią włącza się do walki.

Bogactwem własnych wspomnień, autentycznych przeżyć, Wygodzki nasyca te fragmenty opowiadania, w których odżywają międzywojenne manifestacje, burzliwe pochody pierwszomajowe, ponure przesłuchania policyjne, dramaty wieloletnich wyroków za „działalność wywrotową" i żywiołowe radości, gdy udało się oszukać szpiclów...

Okupacja przynosi Będzinowi swoje powszednie okrucieństwa: ginie schwytana przez gestapo Helcia, która ukryła Basa w swoim domku w aryjskiej dzielnicy, ginie jej mąż.

Ale ocalał stary cyrkowiec, na tyle przytomny, roztropny i odważny, że na moment przed wkroczeniem Niemców, uchodzi z Będzina na zwyczajnej „rolwadze", zaprzężonej w parę koni, uwożąc część rodziny i trzyletniego wnuczka Aleksa. I na dalekim Erywaniu, gdzie staremu sztukmistrzowi nieraz śnią się cyrkowe przedstawienia na będzińskich podwórkach, te Basy przetrwają wojnę.

Są jakieś optymistyczne akcenty w końcowej frazie opowiadania, toczącej się już po wojnie. Zauważywszy na afiszu państwowego cyrku nazwisko Bas, autor nie żałuje trudu, by sprawdzić dokładnie, czy to aby ktoś ze znajomych z czasów młodości. Zwinny, elegancki młody aktor cyrkowy, nie bez zdziwienia informuje iż istotnie pochodzi z będzińskiej rodziny, że występuje wraz z żoną absolwentką cyrkowej szkoły, że razem z nimi kraj wzdłuż i wszerz cyrkowym taborem przemierza ich synek, który zgodnie z rodzinną tradycją będzie uczęszczał do cyrkowej szkoły.

Piękny barwny jest opis „wyjścia" wielkiej grupy cyrkowców, inaugurującego reprezentacyjny cyrkowy spektakl; szczególnie krzepiący jest widok młodych otwierających tę grupę — Aleksego Basa i jego żony (tego malca wywiezionego przez dziadka w ostatniej chwili przed zagładą, przed straszliwym potopem...). „Uniosłem nieznacznie rękę — pisze Wygodzki — i pożegnałem Aleksa Basa a raczej nie jego — tylko jego poprzedników, którzy ciągle wracać będą, wkraczać na moje Podzamcze, gdzie ich łatwo odnajdę. Tam tkwię jak w szczelnie zapchanym wagonie gdzie straszliwie ciasno i gdzie wszyscy jesteśmy zamknięci w przerażeniu, w głodzie, w pragnieniu, skazani na siebie w życiu i śmierci bezpowrotnie".

Jest w zbiorze opowiadanie „Janek" o chłopcu, który ze spalonego miasteczka przeszedł do partyzanckiego obozu i chociaż płonie żądzą zemsty, nie jest jednak w stanie pocisnąć za cyngiel, gdy trafia się pierwsza okazja wymierzenia kuli prosto w Niemca.

Poza nowelą „Sprawiedliwość", której akcja toczy się na Śląsku w roku 1918, wszystkie poświęcone są czasom okupacji lub, jak okrutna w swej pointe „Misja", z nią tematycznie związane.

Najwięcej refleksji, smutku, budzi „zwietrzała kartka", opowiadanie wysnute z pożółkłego karteluszka, po latach odnalezionego z aktów hitlerowskiej policji w Gliwicach. Lakoniczny fragment protokołu z zeznaniem niejakiej Margot Wiesner, żony Karola Wiesnera, Niemca, dyrektora i intendenta teatru w Gliwicach, która samorzutnie przyszła, aby złożyć niesamowite samooskarżenie iż jest żydowskiego pochodzenia.

Zanim dojdzie do dramatycznego finału — samobójczej śmierci, która pochłonie ją i kochającego męża, jesteśmy świadkami cichej tragedii. Nie jest to zwyczajny typowy okupacyjny dramat. Margot nie została bynajmniej opuszczona przez męża „rasowego" Niemca, znającego jej pochodzenie, znaleźli się przyjaciele skłonni ją ratować, nikt z policji nie wpadł na to, że ta elegancka młoda kobieta, która przyjechała tu z mężem gdzieś z głębi Niemiec, może mieć taką „plamę" na swym pochodzeniu.

A jednak, dzień po dniu, godzina po godzinie, początkowo wbrew samej sobie, później coraz bardziej bezwolna, Margot czuje się wciągnięta w nieodwracalny dramat narodu, skazanego przez okupanta na śmierć. Nie ścigana przez nikogo w dosłownym znaczeniu tego słowa, sama czujnie tropi poczynania hitlerowskich katów. To ją, bladą, na wpół obłąkaną ze smutku i ze zgrozy, widzą na nasypie kolejowym skazańcy z pociągu wiozącego ich na niechybną śmierć.

Niedługo potem, w milczącej zgodzie, w miłości, z którą wierny mąż towarzyszy jej poza ustaloną konwencjonalnie granicę życia, Margot zaznaje spokoju, trując się gazem.

„Zwietrzała kartka" tak rzetelnie skrupulatnie odczytana przez Wygodzkiego, jest nie tylko wielkim oskarżeniem straszliwej hitlerowskiej machiny, zdolnej znaczyć ludzi piętnem śmierci, niweczyć ich wolę skazywać na samooskarżenia, od których nie ma już ratunku, jest również pięknym requiem dla Margot nieszczęśliwej, zaszczutej kobiety, dla dziesiątek tysięcy jej podobnych, które błąkały się po ulicach obcych im już miast, w przedśmiertnym strachu biegły oglądać wagony uwożące ludzi w ostatnią drogę.

Wbrew może koncepcji czy zamierzeniom autora, nie owe Basy — bohaterowie tytułowego opowiadania niczym mieszkańcy mitycznej arki Noego ocaleni z potopu, ale tragicznie zgładzona Margot, pozostaje w naszej myśli, trwa w naszej zadumie długo potem, gdy już zamknęliśmy „Basy".

że, by jej który z uczniów za darmo ciastka nie świsnął — dokończyła prezencji i opisu wyglądu hrabiny dziewczyna.

Lusia było to dziewczę wzrostu dziecka jeszcze i nikt by nie powiedział, że jest uczennicą drugiej klasy Szkoły Powszechnej SS. Boromeuszek w Łańcucie, której protektorką i opiekunką była Jej Ekscelencja hr. Potocka, właścicielka przepięknego pałacu i cudownie utrzymanego parku. W sąsiedztwie szkoły i Liceum Pedagogicznego dla dziewcząt utrzymywany i prowadzony przez zakonnice był duży pensjonat. W czasach austriackich jeszcze, później w okresie Polski międzywojennej słały tu swe córki na wychowanie i edukację rodziny szlacheckie ze wszystkich dzielnic wyzwolonej spod trzech zaborów Rzeczypospolitej. Nie było tu miejsca dla córki chłopa, mieszczańskiej, czy broń Boże robotniczej. Urzędnik... i to stopnia musiałby być nie lada jakiego, ażeby przy użyciu wysokiej protekcji mógł swoją córkę w zakładzie tym umieścić. Opłaty zresztą były tu tak wysokie, iż sama myśl o nich odstręczała od zamiaru starania się o umieszczenie w tym zakładzie dziewczęcia rodziców nie posiadających dobrze wypchanego mieszka. Z biegiem lat gromadziły się zasoby pieniężne zakładu, aż urosły takich sum, że nie wiedząc co z kapitałem uczynić rozbudowały SS. Boromeuszki swój zakład do imponujących rozmiarów. Do powiększonych ilościowo i przestrzennie klas zmuszona była dyrekcja przyjąć pedagogów świeckich, z wykładanych tu nauk korzystać zaczęły dziewczęta spod strzechy i mieszkań robotniczych, jeśli tylko stać było rodziców na wyasygnowanie z domowego budżetu niewiele i w tych czasach obniżonych opłat. Dzięki tym wyżej wymienionym zmianom do szkoły SS. Boromeuszek została przyjęta córka jednego z robotników zajętego w majątkach hr. Potockiego, na początku niniejszego opowiadania wymieniona Lusia. Dziewczę to na miarę krasnoludka, rezolutne było, czupurne i jak pchła żywe a wiercące. W miarę potrzeby jednak, od najmłodszych lat potrafiła przybierać swą postać w dostojną powagę i rozmawiać serio. Mając lat cztery wprawiała w podziw pobożnych na nabożeństwie w kościele, modląc się w skupieniu z książeczki do nabożeństwa. Była bowiem na tyle sprytna, że wyszukiwała modlitewnika z obrazkami zmuszającego trzymać go w rękach właściwie, to jest, aby malowani na stronniczkach święci widoczni byli głowami do góry, nie zaś nogami. Szedł szept między nieznajomymi: ...Czyżby to dziecko naprawdę czytać umiało?

Mimo tych szachrajstw dziecinnych Lusia przesiadując przy uczącym się swoim starszym braciszku rwała się do nauki, uczyła się z nim wspólnie i w wieku lat pięciu druk czytać umiała płynnie. Mając lat sześć opanowała sztukę pisania i ku rozpaczy rodziców domagała się zapisania do szkoły. Na przyjęcie jej w którejś ze szkół państwowych nie pozwalała regulująca wiek dziecka do rozpoczęcia nauk ustawa. Przy użyciu więc próśb i różnych protekcji przyjęły niedojrzałą wiekiem jeszcze uczennicę do klasy pierwszej w swoim prywatnym zakładzie SS. Boromeuszki. Dziewczę z natury wesołe i z uwagi na nieprzeciętne zdolności stało się tu beniaminkiem pedagogów i przyjaciółką dużego grona koleżanek. Z racji tych też zapewne najmłodsza i najmniejsza wzrostem drugoklasistka Lusia wybrana została przez siostrę przełożoną i dyrektorkę zakładu na towarzyszkę i mentorkę dla wnuka hr. Potockiej, pięcioletniego Stasia. Ojciec jego hr. Jerzy Potocki, ordynat klucza pomorzańskiego za Lwowem, większych podobno majątków był właścicielem, aniżeli starszy brat jego Alfred, pan na Łańcucie, bogactw też jak wiadomo niepośledniсh. Właścicielką zamku i olbrzymiego parku była Jej Ekscelencja hrabina matka. W przeciwieństwie do swego starszego brata Alfreda, hr. Jerzy prowadził życie burzliwe, służył w wojsku, piastował później różne stanowiska państwowe, ambasadorował Rzeczypospolitej w państwach Bliskiego Wschodu, a przed przyjęciem placówki dyplomatycznej w Ameryce Północnej, podróżował tłukąc się po różnych krajach Europy i poza nią, na wszystkich krańcach świata. Mimo ciągle sprzedawanych wielkich połaci lasów na terenach pozalwowskich szkatuła hr. Jerzego dość często świeciła pustką, przyprawiając go o pasję. Do rodzinnego zamku w Łańcucie zaglądał mimo to niesłychanie rzadko, miejsca tu długo nigdy nie zagrzał zadręczając hrabinę matkę, która kochając obierzyświata bardziej od syna starszego na próżno usiłowała zatrzymać go przy sobie przez czas dłuższy. Wymykał się nie chcącej puszczać go od siebie starej matce, wyjeżdżał niespodziewanie i w jakiś czas później z tej, to znowu z innej półkuli dawał znać o sobie, że żyje. Poznał w końcu córkę, jak wieść niosła magnata hiszpańskiego, ożenił się i wybrawszy się w podróż poślubną, objeżdżał kraje Ameryki Łacińskiej, przejmując pod swój zarząd otrzymane wraz z żoną od teścia szacowane na krocie majątki. Pod dach rodzinny w Łańcucie zjawiał się zaledwie od czasu do czasu, zwłaszcza gdy przekonał się, że hrabina matka już od pierwszej chwili poznania swej pięknej i jak żmija zgrabnej synowej poczuła do niej źle ukrywaną niechęć i złość. Odwzajemniała się świekrze młoda pani tym samym uczuciem do tego stopnia, iż odmawiała zajęcia miejsca obok niej w jej karecie w drodze na nabożeństwo; kolatorską lożą w kościele też wzgardziła, jak na udry wybierając dla siebie miejsce

w nawie bocznej w ciasnocie i tłoku między pożerającymi ją oczami kawalerami i urodziwymi dziewuchami, mieszkańcami pobliskich wsi.

Kiedy jednak późną jesienią roku 1932 młodzi hrabiostwo zjawili się w Łańcucie z kilkuletnim synkiem, rozmiłowana w rozkosznym chłopcu babka dotąd przekonywała, najrozmaitsze przedstawiając racje, aż przychylili się do jej próśb młodzi rodzice i wyjeżdżając zostawili swe dziecko pod jej opieką na czas nieokreślony. Mały Stasiu paplał po francusku, podobno i po hiszpańsku jak rodowity syn każdego z tych narodów, ofiarowała mu się z niemczyzną babka. Nastawiony na te dialekty język chłopca słowa polskie wymawiał z trudnością. Przeznaczając go w swej wyobraźni na przyszłego ordynata dwu kluczy majątków, łańcuckiego i pomorzańskiego, stara hrabina, nie widziała w nim właściwego dóbr tych włodarza, bez znajomości języków, jakimi porozumiewa się zamieszkująca te miejscowości ludność. W Łańcucie zatem po polsku. Zastanawiając się nad tym problemem coraz wnikliwiej doszła do przekonania, że nikt szybciej na Polaka wnuka jej nie przeinaczy jak niewiele od niego starsza uczennica podopiecznej jej szkoły.

Zostawała więc drugoklasistka Lusia co dnia po lekcjach od godziny trzynastej do piętnastej, by pod opieką nauczycielki zakonnej i kontrolą argusowych ócz starej arystokratki wbijać w głowę pojętnego zresztą ucznia z dziwnie twardo szeleszczącą mową ojczystą w postaci deklamowania wierszy, śpiewania kolęd, tłumaczeń itd. itd. Opychała się cukrami, czekoladą i owocami południowymi, zaczynająca zadzierać już nosa nieletnia lektorka.

Aż pewnego popołudnia wróciwszy po lekcji z młodym hrabią drugoklasistka tak zaczyna opowiadać w domu:

— Mamusiu, pani hrabina pytała mnie o tatusia.

— Co ty prawisz? — matka aż zachłysnęła się ze szczęścia — o nas, o rodziców pytała?

— Nie, mamo, nie o rodziców się pytała, tylko gdzie i czym zajmuje się mój tatuś.

— A ty coś jej na to powiedziała? — spytał ojciec odłożywszy książkę.

— No tak, powiedziałam jak prawda, czemu miałam się wstydzić?

— Ale co powiedziałaś? Mówże wyraźnie.

— Że tatuś jest maszynistą w fabryce pana hrabiego — odpowiedziała z pewną dumą, choć spłoszona nieco.

— No, no... — mruknął ojciec i wziął się do czytania z powrotem.

— Ach, ty zawsze z tym swoim no, no, mruku zatracony. Nie powie co myśli, może awans jaki nas czeka, czy coś inne. On zawsze no, no — matka Lusi kipieć już złością zaczęła.

— Nie chciałem zakrakać przed czasem — mówił przerywając znowu lekturę ojciec. Skoro jednak prowokujesz i naglisz, powiem ci co moje no, no znaczą. Darmo się żono łudzisz i cieszysz nie wiadomo czym. To było przecież żadne szczęście, dobrze więc, że tak się stało. No, no to znaczy, że już po posadzie i honorach chciałem powiedzieć, alem nie skończył.

Zmartwiona matka usiadła bez słowa; dziewczę zabrało się do odrabiania lekcji szkolnej.

Następnego dnia w uczelni SS. Boromeuszek w pojedynkę już stara hrabina się zjawiła. Przesunęła się przez korytarz z miną surową i weszła do biura kierownictwa szkoły. Opuściwszy w fotel przysadzistą swą postać wpiła się wzrokiem zjadliwym w siostrę przełożoną, nawiasem mówiąc też rodu szlacheckiego.

— Jak sobie Ksenia mogła pozwolić na podobny afhond wobec mnie? — spytała hrabina.

Siostra przełożona wybałuszyła wyblakłe oczy:

— Przepraszam Jej Ekscelencji, ja nic nie rozumiem — odpowiedziała.

— Jak Ksenia nie hozumie? A z tym dziewczęciem do towarzystwa dla mojego wnuka nie afhond że to mojej godności i imieniu?

— Jej Ekscelencja raczy wybaczyć, ale wybrałam z czystym sumieniem, zdawało mi się uczennicę najodpowiedniejszą. To bardzo miłe i dobre dziewczę. Lubimy ją wszyscy.

Powiedziała mi też towarzysząca malcom siostra Augusta, że młodziutkiemu hrabiemu mała towarzyszka bardzo do gustu przypadła.

— Otóż to właśnie źle, że przypadła. Dziś wphost hozbeczał się, gdym go z sobą wziąść nie chciała — mówiła stara arystokratka, a występujące na policzki płomienie przez warstwę pudru nawet stały się widoczne. Byłoby nie do dahowania obhazą gdybym wiedząc o tym, sama go tu phowadziła czy wiozła; do tej, no... Przecież to dziewczę, to nieuhodzona cóhka jakiegoś smahowoza: czyżbyś Ksenia nie wiedziała o tym?

— Wiedziałam Ekscelencjo, że wybrana na towarzyszkę hrabiowskiemu dziecku uczennica nie jest urodzona...

— Phoszę nie tłumacz się Ksenia. I tak przepadło, a co minęło nie whóci. Zostałam ukahana shodze zawierzając uhodzonej przecie przełożonej będącego pod naszym patronatem zakładu. Dla mojego wnuka nie ma jednak w tej przefasonowanej uczelni towarzystwa. Trzeba mi wybhać się z nim gdzie indziej, albo do domu odpowiednio uhodzonych mentohów sphowadzić. Do widzenia!

Złożywszy wychodzącej należny ukłon, siostra przełożona prywatnej uczelni łańcuckiej, usiadła ciężko w fotelu z powrotem, wsparła na blacie biurka łokcie rąk i ująwszy w dłonie poczynającą siwieć głowę zatopiła się w głębokim rozmyślaniu. Po pewnej chwili ramiona jej, a później głowa i plecy w dziwnie nerwowych drgawkach trząść się zaczęły. Któż zgadnie, płacz ją nagły ogarnął, czy pękała ze śmiechu?

„SŁOWNIK FOLKLORU POLSKIEGO"

Czy wiecie, że najbogatszy obrzędowo okres, to tzw. Godnich Świąt, a więc od Wigilii 24 grudnia po Trzech Króli. Święta te w przeszłości były zapewne świętami agrarno-zaduszkowymi, o czym zdaje się świadczyć snop wigilijny, czy obsypywanie się zbożem w drugi dzień Bożego Narodzenia — interpretowane obecnie jako pamiątka kamienowania św. Szczepana, wreszcie sama wieczerza wigilijna, w czasie której teraz jeszcze pozostawia się przy stole puste miejsca dla bliskich nieżyjących...

„Zwyczaj ubierania choinek rozpowszechnił się u nas dopiero w połowie XIX wieku i przywędrował z Niemiec. Ściśle związany z liturgią zwyczaj śpiewania kolęd, obok tekstów literackich i pseudoliterackich przyczynił się w dużej mierze do wzbogacenia literatury tradycyjnej — ludowej".

Czy wiecie co to jest Belfagor? skąd pochodzi zwrot „pleść duby smalone", lub „kota ciągnąć", kto to była Magielona lub Płanetnik"?

Czy wiecie, że bajka o Waligórze i Wyrwidębie występuje w Polsce, w 38 wersjach i pochodzi ze Wschodu. Albo że pod koniec wieku XVIII z wielu senników najważniejszym wzięciem cieszył się „Sennik loteryjny albo łatwy sposób wygrania na loterii".

Te wszystkie wiadomości znaleźć można w niedawno wydanym „Słowniku folkloru polskiego". Książka ta zasługuje na żywą uwagę zarówno przeciętnego czytelnika, jak również historyków literatury, etnografów i folklorystów. Chociaż rzadko można spotkać maniaków, którzy czytaliby encyklopedię lub słownik, jak powieść, „od deski do deski", to jednak „Słownik folkloru", dostarcza tak pasjonującej lektury, iż większość czytelników nie oprze się pokusie przeczytania go w całości. Znajdą oni tu rodowód rozlicznych podań, baśni i legend ludowych, opisy obrzędów i obyczajów, interpretację porzekadeł i przysłów, sylwetki ludoznawców i chłopskich poetów, bogaty zbiór anegdot i facecji ludowych — to wszystko okraszone licznymi i oryginalnymi ilustracjami... Na pewno więc bestseller czytelniczy dla wszystkich zainteresowanych kulturą ludową. Naukowcy otrzymują pierwszą w Polsce propozycję systematyzacji całokształtu zagadnień z zakresu folkloru, próbę stworzenia przewodnika po obszarach literatury i kultury ludowej. Propozycję jeszcze niedoskonałą i dyskusyjną lecz pionierską.

„Całość materiału zawartego w Słowniku — czytamy na wstępie — obejmuje trzy grupy zjawisk, mianowicie charakterystykę składników tworzących literaturę ludową, wiadomości teoretyczne z zakresu wiedzy o tej literaturze, a więc folklorystyki, wreszcie biografie ludzi, którzy wiedzę o folklorze polskim budowali w ciągu lat stu pięćdziesięciu z okładem"...

Wydaje mi się, że mimo tak szeroko pojętej koncepcji Słownika znalazły się w nim hasła niewiele mające wspólnego z folklorem polskim. Nie umiem znaleźć uzasadnienia, dla którego włączono do książki motywy z mitologii starożytnego Wschodu, greckiej lub rzymskiej, które mimo iż znalazły odbicie w polskiej literaturze „oficjalnej" nie dotarły do twórczości ludowej. (Np. podanie o Amorze i Psyche). Nie widzę także wyraźnego związku z kulturą ludową podań o pochodzeniu szlacheckich herbów. Zabrakło natomiast wielu sylwetek folklorystów, kilku tytułów pism ludowych, kilku postaci znanych ludowych pisarzy itp. Zdaje się, że te braki wynikają z niedość precyzyjnie pojętego pojęcia folkloru, tendencji do rozszerzenia go o zjawiska pokrewne lub podobne.

Te niekonsekwencje nie obniżają w sposób zasadniczy wartości wydawnictwa i wynikają z pionierskiego charakteru przedsięwzięcia. Niewątpliwie w następnych, rozszerzonych i skorygowanych wydaniach znikną, a w skład haseł Słownika wejdzie wiele jeszcze nieuwzględnionych zagadnień i postaci. Między innymi biografii wielu żyjących współcześnie etnografów i badaczy folkloru oraz pisarzy i pamiętnikarzy ludowych.

Na dobro autorów Słownika należy zapisać skrupulatne uwydatnianie związków folkloru z literaturą piękną, zwrócenie uwagi na obszary pograniczne piśmiennictwa „oficjalnego" i literatury ludowej. Dlatego uwzględniono w pracy motywy ludowe zawarte w twórczości Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego oraz wypowiedzi, prace badawcze i zainteresowania folklorystyczne wielu innych pisarzy i literatów polskich. Wiele stąd korzyści dla historyków literatury i kultury polskiej, którzy w Słowniku mogą znaleźć nici przewodnie do dalszych szczegółowych badań.

Każde prawie hasło Słownika opatrzono przypisami bibliograficznymi. Dzięki temu powstała obszerna literatura przedmiotu tak niezbędna i przy dalszych badaniach nad folklorem i przy pogłębianiu zainteresowań z tej dziedziny zwykłych czytelników. Należy podkreślić, iż wydanie tak pożytecznej i oczekiwanej książki zawdzięczamy profesorowi Julianowi Krzyżanowskiemu, który był inicjatorem edycji i opracował sam większość haseł Słownika, oraz czuwał nad jego redakcją.

JAN GRYGIEL

ZUZANNA KUSEK-KUD — PORTRET
Fot. ALEKSANDER HADAŁA

WITOLD SZYMCZYK

anna i nataszą

XI Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes jak i poprzednio ściągnął do tej uroczej miejscowości mnóstwo gwiazd i sław ekranu. Wdzięczyły się one przed kamerami fotoreporterów, oszałamiały bogactwem toalet i urodą. W tłumie festiwalowych gości nikt nie zwracał uwagi na czarowłosą dziewczynę w ciemnym swetrze, która wchodziła w skład delegacji radzieckiej. Dopiero kiedy na ekranie wyświetlono film „Lecą żurawie", kiedy stało się jasne, że po raz pierwszy od wielu lat kinematografia radziecka ma szanse zdobycia głównej nagrody, dziennikarze porzucili ubraną w elegancką pasiastą suknię Jayne Mansfield i popędzili oglądać aktorkę radziecką. Patrzyli nie bez zdziwienia. „Źle uczesana i w dwóch swetrach" napisał potem któryś z nich.

Tatiana Samojłowa w roli Anny Kareniny.

Film „Lecą żurawie" otrzymał „Złotą Palmę", a dziewczyna w swetrze grająca w nim rolę Weroniki uznana została obok popularnej Francuzki Francoise Arnoul za najbardziej czarującą aktorkę festiwalu. Wzruszona i zaskoczona popłakała się na oficjalnej uroczystości.

„Lecą żurawie" reżyserował Michał Kałatozow, który miał duże trudności z doborem aktorki na rolę Weroniki. Pierwotna kandydatka czuła się bardzo niepewnie i filmowi groziła mała katastrofa. Całkiem przypadkowo obejrzał Kałatozow film „Meksykanin" i tam zobaczył swoją Weronikę. Była nią Tatiana Samojłowa. Bez próbnych zdjęć przystąpiła do pracy nad swoim nowym, drugim z kolei filmem.

Sukces w filmie Kałatozowa zyskał jej popularność na całym świecie. Młoda oktorka stała się sławną. Oczekiwano od niej daszych wielkich kreacji. Ale sukcesy w w przeciwieństwie do nieszczęść rzadko chodzą w parze. Tatiana zagrała w węgierskim filmie „Alba Regia", a następnie w „Niewysłanym liście" Kałatozowa. Postacie, które grała nie dawały zbyt wielkich możliwości. Zagrała je dobrze, ale to nie było owo wielkie przeżycie, na które wszyscy czekali. Rezygnacja z kilku innych ról, zły stan zdrowia uniemożliwiający pracę przez dłuższy okres sprawiły, że sława aktorki przygasła.

Jeszcze podczas pracy nad filmem „Lecą żurawie" Kałatozow i operator Urusiewski myśleli o ekranizacji „Anny Kareniny". Dyskutowano o tym w zespole, wysuwano tezę, że powinien to być film różny od dotychczasowych ekranizacji tej powieści, że będzie to studium psychologiczne, próba opowiedzenia językiem filmowym wewnętrznego świata bohaterów Lwa Tołstoja.

I oto z całej trójki właśnie Samojłowa otrzymała możliwość zagrania Anny. Kałatozow i Urusiewski wyjechali na Kubę, gdzie pracowali nad filmem o tym kraju. Ekranizacją „Anny Kareniny" zajął się Aleksander Zarchi, znany radziecki reżyser, autor takich filmów jak „Kurhan Małachowski", „Pod chmurami", „Gwiaździsty bilet".

Rolę tytułową powierzył Tatianie. Postać Kareniny to dla aktorek radzieckich wielki magnes przyciągający uwagę i myśli. Któraż z nich nie marzyła o zagraniu tej wspaniałej, pełnokrwistej i dramatycznej postaci. Ale choć to rola zaszczytna, przecież także niełatwa i niemało stwarzająca dla kreującej artystki trudności. Zdaje sobie z nich sprawę Samojłowa, podejmując to wielkie i odpowiedzialne zadanie. Oto co mówi o swojej bohaterce:

— „Dawno marzyłam o pokazaniu na ekranie kobiety idącej drogą wielkiego i szczerego uczucia. Karenina jest piękna, utalentowana, mądra, obdarzona wspaniałą intuicją. Jaskrawo wyróżnia się spośród otaczających ją ludzi, Anna jest zdecydowana w wyrażaniu swoich uczuć, wolna od umowności petersburskiego „high life'u". Nie potrafi żyć poza prawdą i dlatego ginie. Wydaje mi się, że mówiąc o Annie Kareninie mówię o wielu współczesnych kobietach skupiających w sobie najlepsze wartości jej duszy".

W realizacji tej wielkiej roli, w spełnieniu dawnego marzenia życzymy Tatianie Samojłowej nowego, pięknego sukcesu.

* * *

Prawdopodobnie jeszcze wcześniej niż Annę Kareninę zobaczymy na ekranie inną bohaterkę tołstojowską — Nataszę Rostową. Widzieliśmy ją niedawno w amerykańskim filmie Kinga Vidora w wykonaniu słynnej i ogromnie lubianej Audrey Hepburn. Film ten eksponował mocno tę postać, uczynił z niej główną bohaterkę wydarzeń, pomijając bądź skracając wiele wątków powieści. W najbliższej przyszłości poznamy kolejną Nataszę w gigantycznej ekranizacji „Wojny i pokoju" podjętej przez Sergiusza Bondarczuka. Nataszę gra tutaj Ludmiła Sawieljewa, młodziutka tancerka z Leningradu występująca po raz pierwszy na ekranie.

Ludmiła Sawieljewa na przechadzce.

Do filmu Bondarczuka trafiła w nieoczekiwanych okolicznościach. Robiono już wiele prób i zastanawiano się nad wieloma aktorkami. Kandydatek było wiele, ale reżyser nie mógł się zdecydować. I dopiero...

Ale niech powie o tym sam Bondarczuk.

— „Lusia — pisze w miesięczniku „Junost" — rzeczywiście trafiła do „Mosfilmu" zupełnie przypadkiem. Na początku odmówiono jej nawet zdjęć próbnych, tak nieokreślony i niepodobny do Nataszy był jej wygląd.

Przyjąłem ją, właściwie żeby złagodzić gorycz odmowy i jak dziesiątkom (a może setkom) drugich kandydatek do roli, zaproponowałem przeczytać fragment tekstu. Mówiła zupełnie bez wczucia się, ale coś skłoniło mnie zaproponować jej ponowne przyjście do studia nazajutrz, po uprzednim wyuczeniu się tekstu na pamięć.

Byłem zaskoczony zmianą jaka zaszła w przeciągu dnia: Lusia była zupełnie inna. I kiedy podczas próby zdjęciowej jakaś dziewczyna po prostu przebiegła na słabo oświetlonym ekranie (to była ona) cały nasz zespół zniechęcony już bezowocnymi poszukiwaniami Nataszy zawołał: „To ona!".

Decyzja była powzięta. Zaczęła się trwająca do dziś praca w filmie. Okazało się, że Sawieljewa posiada rzadki dar przeobrażania się i po kolejnych zdjęciach reżyser utwierdził się w słuszności swego wyboru.

„Zwykłe rzeczy — charakteryzacja, uczesanie, kostium czynią z nią cuda — pisze Bondarczuk. Właściwie na tym polega talent artysty: stopień przeobrażenia, to wskaźnik talentu. Lusia jest obdarzona czymś co można nazwać unikalnym: umiejętnością zarażania innych swoimi uczuciami. Jest czarująca, ale najważniejsze to jej umiejętność oddziaływania swoim nastrojem na otoczenie. Może i nic, absolutnie nic nie robić, a mimo to patrzy się na nią z ogromnym zainteresowaniem".

Odtwórczyni filmowej Nataszy Rostowej żywo interesuje się sztukami plastycznymi.
Na zdjęciu: podczas zwiedzania muzeum.

Dwa lata trwają już zdjęcia. Dwie pierwsze części filmu „Wojna i pokój" są już ukończone. Na roboczych a także oficjalnych pokazach słychać głośne okrzyki widzów: „Jaka urocza ta Natasza! Gdzieście ją znaleźli!". A ona sama? Ta młodziutka, drobna dziewczyna, która wbrew woli rodziców poszła do szkoły baletowej (długo chorowała przedtem na gruźlicę płuc) i obecnie ma ogromną życiową szansę. Zapytana przez dziennikarzy jak się czuje w roli Nataszy i jak ocenia swą amerykańską poprzedniczkę odpowiada:

— Hepburn — to urocza aktorka. To co stworzyła w filmie mogła zrobić jedynie ona. Ale ja obraz Nataszy wyobrażam sobie nieco inaczej.

Czy marzy o karierze na ekranie? Stara się o tym nie myśleć. Rola w filmie Bondarczuka to ważny etap jej życia. Nie wie co będzie dalej, nie zaniedbuje tańca. Trening w tej dziedzinie, to rzecz podstawowa, więc wykorzystuje na to wiele wolnych chwil. Dużo czyta. Interesuje się historią malarstwa i architektury. I pracuje. Wytrwale, cierpliwie pod kierunkiem wytrawnego reżysera i przy pomocy doświadczonych kolegów tworzy nowy filmowy obraz Nataszy Rostowej.

WITOLD SZYMCZYK

AUTOKARYKATURA POLSKIEGO FILMU

Jeszcze niedawno, gdy mówiło się o narodowych charakterach poszczególnych nacji, Francuzom przylepiano markę, delikatnie mówiąc „zepsutych". Opinie zmieniły kurs radykalnie, gdy Francja w swoich statystykach zaczęła notować wyższy wskaźnik przyrostu naturalnego. Nasi turyści znowu zgodnym chórem narzekają na rezerwę Francuzek, oczywiście w stosunku do cudzoziemców.

Rzecz jasna, wiadomo ile warte są takie obiegowe opinie, ale niektóre sprawdzają się nawet po wiekach. Wracając do Francuzów, niewiele z tego co się o nich mówi, poparte jest osobistym doświadczeniem. Mity są ubocznym produktem kultury i w tym wypadku także kilkusetletni import jej z Francji sprzyjał powstaniu mitów i symboli. Łatwo podłożyć odpowiednie znaczenia pod same nazwiska, które przewijają się zawsze w tych samych kontekstach. Dior — więc elegancja, Wolter — błyskotliwość, Bardotka — sex itd. Sporo materiału w obecnej dobie do produkcji podobnych schematów dostarcza film, który nie tylko tworzy nowe, ale rozwija już istniejące. Tak dla zabawy przyjrzyjmy się któremuś pod tym kątem. Ot, choćby świetna satyra obyczajowa „Rozwód po włosku" z Mastroianim. Jak ładnie nawet na nim sprawdzają się kursujące u nas przysłowia. Pomijając nieistotny w tej chwili główny problem filmu zwróćmy uwagę na niektóre momenty. Włosi i Włoszki — mężczyzna i kobiety.

Prowincjonalny włoski hrabia żyje pod presją nieustannych ataków erotycznych ze strony swojej połowicy, co w końcu zmusza biedaka do poszukiwania miłości idealnej, która przynajmniej na pierwszym etapie, nie jest tak pracochłonna.

Nadmiar temperamentu żony prowadzi go bezpośrednio do zabójstwa. W końcowej scenie oglądamy świeżą małżonkę, która całując się z mężem trąca jednocześnie nogą przystojnego marynarza, wyraźnie nie przez nieuwagę. Włoski hrabia zabija żonę, by ożenić się po raz drugi. Zabija więc z miłości. Dla sądu przygotowuje jednak inny motyw — zazdrość. I to usprawiedliwia go w oczach opinii publicznej. Zazdrość jest usankcjonowana społeczną tradycją. Przypomnijmy sobie: namiętny jak Hiszpan, zazdrosny jak...

Ciekawe jakie wyniki dałby podobny zabieg przeprowadzony na paru filmach polskich. Może podobną bzdurę, tyle, że mniej zabawną.

Niedawno napotkałem w prasie stwierdzenie tego rodzaju. Mają Czesi, mamy i my naszą falę. Oczywiście nową i filmową. Chodziło mianowicie o film, który niedawno wszedł na ekrany, „Sam pośród miasta" — Haliny Bielińskiej.

„Sam pośród miasta" wygląda wbrew pozorom, jakie narzuca etykieta „nowej fali" na film z tezą. Z tym, że ani społeczną, ani filozoficzną, tylko, „samopoczuciową". Ludzie potrzebują ciepła, poszukują go itd. Jest w tym racja, bo inaczej nie żeniliby się, ani troszczyli o węgiel na zimę. Teza może interesująca, ale zbyt się ją narzuca, wychodzi z każdego kąta ekranu. Reżyser eksponuje ją jakby miała mówić za siebie i wystarczać za cały film. Ponieważ techniczna realizacja filmu wymaga obrazów, więc naszpikowano go w połowie realiami obyczajowymi, a w połowie akcesoriami „nowej fali" i zaprawiono sosem filozoficznej zadumy. Brutalna rodzajowa scenka napadu chuliganów sąsiaduje z pomrukami, które mają oznaczać smutną pamięć przeżyć okupacyjnych. Kilkakrotne powtórzenia znaczących kwestii oddzielają sprawy nieważne od istotnych. I na tym kończy się cała filozofia. Nawiasem, większość mankamentów filmu dostrzega się dzięki głównej postaci. Zbigniew Cybulski, znakomity zresztą aktor, ma widocznie szczęście do ról tak rozmijających się z jego talentem. On, którego ożywić może ruch, konkret, życie, zawodzi tam, gdzie potrzeba refleksji, jest śmieszny. W tym filmie błaznuje podobnie jak w „Giuseppe w Warszawie". Gdzie należy się zamyślić, to poprawia okulary, a gdy się zamyśla, wygląda na śpiącego. Podobnie jak film.

Ale jest w nim coś jeszcze. Otóż w sposób zupełnie przyzwoity można skonstruować sobie obraz Polaka a raczej jego karykaturę, jedynie w oparciu o ten film, który w założeniach porusza, mówiąc wzniośle, ponadnarodową tematykę.

Filmowy Polak koniecznie musi mieć przeszłość podziemną. Coś w tym jest, że trudno spotkać takiego np. który nosi w sobie wspomnienia z czasów szmuglu, czy przymusowych robót, koniecznie musi być tym, co z visem. Polak gdy kocha, to rzadko normalną kobietę, bo albo dziewczątko, które aż strach pocałować, albo heterę, która mu wyrządza krzywdy moralne. Jeśli zdradzi go dziewczyna, to zaczyna mówić o pogodzie, albo o schodach. Nie szaleje oczywiście, ani reaguje z angielską flegmą, mówi z lekka przerywanym głosem, bo go przecież boli we wnętrzu. W chwilach wolnych wskakuje do knajpy, a tam oczywiście czekają na niego okupacyjne demony. W życiu bywa rozmaicie, ale w filmie telefon, z którego chciałby skorzystać, będzie napewno zepsuty. Obsługa w lokalu albo bardzo nieuprzejma, albo uprzedzająco grzeczna niby z amerykańskiego filmu o milionerach. Nigdy normalnie. Polak, który pragnie skorzystać z dobrodziejstw nocnego spaceru zostanie napadnięty przez chuliganów, a noc napewno spędzi w izbie wytrzeźwień.

„Nowa fala" wymaga jednak czegoś więcej, musi być w filmie koniecznie coś ekskluzywnego. A zatem jest Cybulski na tle pięknej formy. Rzeźba piękna i nic nie mówiąca. Widoczny jest tylko kształt, a to filmowi wystarczyć nie może. A więc jeszcze kilka akcesorii; „Szał" Podkowińskiego i wyprawa w egzotyczne kraje, oczywiście, by realizować zagraniczne zamówienia.

Nie jest to jedyny reprezentant polskiej „nowej fali". Przed kilkoma laty szedł u nas film Rybkowskiego „Naprawdę wczoraj". Tam snobizmu było nieco więcej, zatem i całość wypadła bardziej jednolicie. Słów było niewiele, ale za to, aż pękały od sztuczności. Poza tym w filmie tamtym znalazła się sama elita. Mniej zapewne znudzona, niż u Antonioniego, ale ponieważ to film polski, więc, niestety, od nastu lat ciągle się proletaryzujemy i elicie udzieliło się to również. Nieważne zresztą kto komu rysuje karykatury. Mamy swoją falę, mają i inni, choćby Francuzi swoje ckliwo — poetyckie „Moderato cantabile". A „Sam pośród miasta" warto zobaczyć choćby dla bardzo naturalnie i z wdziękiem zagranej głównej roli kobiecej.

JERZY CIEŚLAK

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

PIERWSZY DIALOG Z PUBLICZNOŚCIĄ

Pisałam o tej scenie, a raczej potrzebie takiej sceny przed blisko dziesięciu laty po raz pierwszy i przed niespełna miesiącem zapowiadałam pierwszą sztukę, którą zaprezentuje na niej zespół Teatru im. W. Siemaszkowej. Łączyły się z jej powstaniem i dyskusje, i nadzieje, i przede wszystkim zadowolenie, że powiększy nam zestaw premier rzeszowskiego zespołu, że pozwoli na różnorodność repertuaru, że będzie odskocznią od tradycyjnego teatru z rekwizytem i dekoracją. Że będzie sceną eksperymentującą, prowokującą — propozycją nowego, w każdym razie innego typu inscenizowania sztuki, najchętniej takiej, która nie mogłaby wejść do repertuaru sceny zasadniczej. Że będzie zabawą dla aktora — na tyle mądrą i swobodną, iż wzbogaci skalę jego możliwości. Że będzie wyróżnieniem dla niego grać na małej scenie, bo zawsze uważam takie scenki jako miejsce dla najznakomitszych, lub — co drogą przeciwieństw, samo się narzuca — dodatkowym egzaminem dla młodych, którzy tylko mogą zyskać w tym bardzo bezpośrednim kontakcie z widownią. Że wreszcie, będzie sceną mądrej, poważnej publicystyki o ambicjach artystycznych, którą można atakować każde środowisko, nawet najmniej wyrobione teatralnie i przekształcać je powoli w wysmakowaną publiczność.

Cele różnorakie, zadania zgoła niełatwe, możliwe w realizacji tylko dzięki ambicjom teatru i jego pasji w poszerzaniu własnych wpływów.

Obserwuję trzytygodniową działalność małej sceny. To na pewno za mało, by powiedzieć, czy sprawdziły się te wszystkie założenia, jakie stoją przed nią, ale dostatecznie dużo, by stwierdzić, że zaczęła swą działalność od najtrudniejszej propozycji, bo publicystyki, sztuki z tezą, dramatu, który znakomicie mieści się w narzuconych konwencjach. Mówię oczywiście o dialogu w dwóch częściach radzieckiego pisarza **Julju Edlisa „Gdzie jest Abel, brat twój?"**

Być może, że inscenizacja tego utworu mało scenicznego, chyba nie do pomyślenia w warunkach normalnej sceny, pozornie ubogiego w konflikty dramatyczne — po prostu trudnego, była nieco szokująca dla widza, przyzwyczajonego do pełnych spektakli; być może, iż kontrowersyjne sądy podważały dla niektórych słuszność samego wyboru inaugurującej sztuki. Ja osobiście jednak jestem zdania, że wybór był słuszny, bo z góry sugerował linię inscenizacyjną, pewien styl własny małej sceny, dość jaskrawo przypominając o jej odrębności. Cieszę się przy tym, że eksperyment w tym przedstawieniu ograniczał się tylko do jego treści, odrzucając świadomie całą żonglerkę formą, wszelkie udziwnianie do jakiego mógł kusić zespół ów niejednolity tekst obracający się przecież w kategoriach moralno-psychologicznych.

Otrzymaliśmy w rezultacie spektakl bardzo czytelny, prosty, szukający kontaktu z widzem poprzez wierność ideom autora, nie zaś po przez wierne trzymanie się tekstu.

Być może, że z pomocą reżyserowi Jerzemu Pleśniarowiczowi przyszedł tłumacz... Jerzy Pleśniarowicz. W każdym razie to podwójne zżycie się ze sztuką wyszło jej na pewno na korzyść. Nie było zbędnego, a czającego się bezustannie patosu, przedstawienie osiągnęło dyskrecję, nawet pewien dystans wobec bohatera, zostawiając otwarty nawias do późniejszych rozważań.

Czy zresztą można było inaczej przedstawić sztukę tak daleką schematom i jednoznaczności pojęć najcięższych moralnie jak zdrada i sprawiedliwość, wina i kara? Każdy jednoznaczny wybór oznaczałby zawsze spłycenie postawionej tezy i sprowadzenie sztuki do wymiaru traktatu o nazbyt znanej tematyce.

„Gdzie jest Abel" przynależy do tych dramatów, którym obojętne pod jaką szerokością geograficzną będą szukać realiów. Jego współczesność nie sprowadza się do bardzo świeżej daty, ale właśnie do oderwania się od konkretnego czasu na rzecz pojęć moralnych, które są ponadczasowe i tylko poprzez kataklizmy, jakie spadają na ludzkość, odświeżana bywa ich intensywność. Myślę, że nawiązanie do biblijnego tytułu samego autora eksplikuje moje widzenie sztuki dostatecznie jasno.

Dialog o przebaczeniu, o niemożności zapomnienia winy nabiera dziś zdecydowanie aktualnej wymowy i nie ma potrzeby aż tak bardzo uogólniać sensu sztuki, że faszyzmem jest tu każde zło, że osaczenie strachem łatwo prowadzi do zdrady, właśnie dziś, kiedy nie jest nam łatwo czegokolwiek zapomnieć. Aktualność tej publicystyki świadczy przede wszystkim o jej potrzebie; nowoczesność jej konstrukcji — wyjście poza publicystykę o talencie dramaturgicznym autora.

Ciężar sztuki spoczywa na dwóch postaciach, prowadzących dialog; grają je Grzegorz Galiński („Ja") i Zdzisław Sikora („On"). Grają dobrze. Rolę wiodącą Galiński zagrał spokojnie, nawet powściągliwie. Te parę zaledwie momentów, gdzie pozwala sobie na większą swobodę głosu (w nich duży monolog o Kainie i Ablu), tym silniejszą miały wymowę — zresztą nie pierwszy raz piszę o dobrym warsztacie tego aktora.

Z wielką satysfakcją natomiast obserwowałem Zdzisława Sikorę, który zerwał tu zdecydowanie ze swoim dotychczasowym emploi aktora bardzo ekspresyjnego i z ogromną dyscypliną podporządkował swoje warunki głosowe wszelkim wyciszeniom, nawet pewnej rezerwie do kreowanej postaci, tworząc „Jego" kameralnie, spokojnie, ważąc każdy gest i słowo. I choć czuło się powściągany przez Sikorę naturalny temperament, właśnie w tej postaci, tak pełnej pęknięć i chropowatości, było to raczej zaletą niż wadą. Wydaje mi się, że aktorstwo Sikory w „Ablu" powinno się włożyć między najlepsze jego role na scenie teatru Siemaszkowej.

Jedyną postacią kobiecą, która jak konieczny przerywnik ożywiała paplaniną kelnerki dialog „wielkiej dwójki" była Teofila Zagłobianka.

Jedyną zaś niekonsekwencję przedstawienia widziałabym w pomieszaniu planów wspomnień i retrospekcji, z których, jedne nie wiadomo dlaczego, były mówieniem z taśmy magnetofonowej, inne mówieniem wprost, podczas gdy aż prosiło się o ujednolicenie tych partii sztuki w technice przekazu.

I jedyny drobiazg psujący harmonię spektaklu umownego: ów hełm, który pojawia się na głowie „Jego", kiedy zdradę wystarczyło zamarkować choćby pełnym buty i siły rozstawieniem nóg, u których podstawy majaczyła sylwetka słabszego a niezwyciężonego.

W ogólnym jednak rozrachunku, dobre przedstawienie, z pięknym, wzruszającym finałem, jakie nam dał Jerzy Pleśniarowicz na małej scenie jest pierwszą propozycją, słuszną propozycją, która, oby znalazła kontynuatorów!

Na posiedzeniu rady repertuarowej było tych propozycji dość dużo i trzeba przyznać na ogół wszystkie znakomicie zgadzały się z ogólnym przeznaczeniem małej sceny, że wspomnę tylko parę nazwisk: Herberta, Broszkiewicza, Różewicza, Witkacego, Ionesco, Sartre'a. W programie „Abla", który anonsuje następne premiery, nie znalazłam ani jednej pozycji, jako przyszłej premiery małej sceny, natomiast aż dwie dotyczące lutowych premier sceny dużej. Czyżby to oznaczało jej ciszę na najbliższe 2 miesiące? A przecież mówiło się o 8 przedstawieniach premierowych rocznie?

Coś tu nie zgadza się z przewidywaniami i źle doprawdy stałoby się, gdyby tak mądrze zaczętą imprezę zagubić na drodze przygotowań rzeczywiście dobrego repertuaru sceny zasadniczej. Dlatego podpowiadam, że Broszkiewicza „Przygody Lemuela Gulivera" wymagają tylko jednego aktora — a polityka rozsądna małej scenki — dużej elastyczności.

Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie — Mała Sala — Julju Edlis — „Gdzie jest Abel, brat twój?". Przekład, opracowanie tekstu i reżyseria: Jerzy Pleśniarowicz. Scenografia: Jerzy Szymański. Muzyka: Franciszek Barfuss. Asystent reżysera: Zofia Gorczyńska. Osoby: Ja — Grzegorz Galiński, Ona — Teofila Zagłobianka, On — Zdzisław Sikora. Prapremiera polska 8 grudnia 1965 roku.

Na zdjęciu: Zdzisław Sikora — On, Grzegorz Galiński — Ja.

Fot. J. OLMA

Nieocenionymi źródłami do dziejów Pomorza Zachodniego są dokumenty zgromadzone w Archiwum Państwowym w Szczecinie. Henryk Lesiński demonstruje jeden z cennych druków. Jest to przywilej szlachecki wydany przez króla Stanisława Augusta

CAF — WECZER

Po zakończeniu Soboru Watykańskiego

REALIZM Z OPORAMI

Sobór Watykański II zakończył się w atmosferze, która nie ułatwia sformułowania dojrzałych i ostatecznych wniosków. IV sesja Vaticanum II — najciekawsza i bodajże najbardziej znamienna ze wszystkich — obfitowała bowiem w zjawiska, które stawiają liczne znaki zapytania wokół poszczególnych soborowych postanowień i uchwał.

Pod względem ściśle formalnym dorobek Vaticanum II jest pokaźny. Bilansuje się on czterema tzw. konstytucjami, 9 dekretami i 3 deklaracjami. Z wszystkich tych dokumentów podstawowe znaczenie posiadają trzy następujące: konstytucja (schemat) „O Kościele", „O wolności religijnej" i „O obecności Kościoła w świecie dzisiejszym". Pierwszy formułuje zasadę kolegialności władzy w Kościele, drugi doktrynę tolerancji religijnej, a trzeci — nowy, bardziej „otwarty" — stosunek Kościoła do zjawisk świata współczesnego, laickiego.

We wszystkich tych podstawowych zagadnieniach starły się ze sobą dwa przeciwstawne stanowiska. Od pierwszego dnia Soboru do jego zakończenia fundamentalna i pryncypialna kontrowersja między kościelnymi konserwatystami i reformistami wyciskała swoje piętno na obradach, a co najważniejsze — także na uchwałach soborowych.

Co pozostało z pierwotnych intencji?

Dla laickiego obserwatora, śledzącego od pierwszego dnia obrady Soboru Vaticanum II nasuwa szczególnie wiele refleksji. To co zwykło się określać jako tzw. linię papieża Jana XXIII i co dało Soborowi początek, w jakimś sensie stanowi nadal punkt wyjścia dla rozważania zarówno osiągnięć, jak i ograniczeń soborowego dorobku. Jan XXIII w imieniu postępowej opinii katolickiej proponował Kościołowi nawiązanie dialogu z wszystkimi ludźmi dobrej woli, także z niekatolikami, także z niechrześcijanami, także z ateistami, materialistami, marksistami. Czy Sobór przyjął tę propozycję?

Formalnie rzecz biorąc, Sobór sformułował zasadę dialogu, czego dowodem jest schemat XIII. Jednak treść nadana temu pojęciu odbiega od rozumienia tego dialogu przez Jana XXIII. Dla Soboru Watykańskiego okresu III i IV sesji tzw. dialog — to przede wszystkim ostrożne i trochę nieufne rozeznanie tego, co w świecie współczesnym rozumie się przez określenie „ludzie niewierzący"; to uwarunkowywanie pojęcia tzw. dialogu specyfiką czasu i miejsca. Według tej wykładni, może on być pożądany w jednym kraju, a w innym nie, może on w jednym okresie być prowadzony, w innym nie. Według tej wykładni, chodzi wreszcie o skierowanie dialogu na płaszczyznę bardziej filozoficzną niż społeczno-polityczną.

Bez względu jednak na to, jak rozwinie się w tej dziedzinie posoborowa praktyka, fakt pominięcia akcentów potępienia komunizmu przez Vaticanum II świadczy niewątpliwie o tym, jak bardzo zmieniły się czasy, skoro nawet tak tradycyjnie konserwatywne ośrodki, jak Watykan i kierownicze koła Kościoła katolickiego musiały nagiąć się do wymogów epoki, w której idee socjalizmu są realizowane na 1/3 globu ziemskiego. Fakt niepotępienia komunizmu — pomimo nacisków w tym kierunku — świadczy jeszcze o jednym: o tym, że w kierownictwie Kościoła katolickiego znalazły się siły, które zdają sobie sprawę, że „spotkanie" katolicyzmu ze światem socjalistycznym jest dla Kościoła elementarnym warunkiem działania w nowych czasach i w nowych formacjach ustrojowych.

Nieustający opór konserwatystów

Nie trzeba dodawać, że ta pozytywna, realistyczna tendencja materializowała się na Soborze z ogromnymi oporami. Były i są nadal w Kościele katolickim poważne odłamy, które nie potrafiły lub nie chcą przezwyciężyć dawnych nawyków i pozostają związane z Kościołem tradycyjnym i konserwatywnym. Walka obozu kościelnej reformy z tymi odłamami i wciąż ponawianymi przez nich próbami sabotowania linii Jana XXIII trwała do ostatniej chwili obrad Soboru Watykańskiego II. Przebieg końcowej fazy Soboru potwierdza — co więcej — prawdę, iż konserwatyzm w Kościele katolickim jest nadal aktualny i wpływowy oraz że ostateczne wyniki soborowej odnowy zależeć będą od tego, czy i w jakim stopniu rzeczników reformy stać będzie na praktyczne przezwyciężenie oporu konserwatystów w okresie posoborowym.

Stwierdzając zatem fakt narodzenia się i rozwoju pewnych tendencji realistycznych w czasie trwania Soboru, trudno było jednak nie zaobserwować na Soborze dysproporcji, jaka zachodzi pomiędzy jakością ideową i postawą większości hierarchii kościelnej, a stanowiskiem pewnej części polskiego episkopatu, a zwłaszcza jego kierownictwa. Wystąpienia niektórych przedstawicieli polskiego episkopatu, szczególnie zaś jego kierownika, zbiegły się we wszystkich podstawowych zagadnieniach dyskutowanych na Soborze z postawą konserwatystów. Nie jest to prawda miła, trudno jednak nie dojść do takiego wniosku po zapoznaniu się choćby tylko z przemówieniami kardynała Wyszyńskiego czy biskupa Baraniaka na III i IV sesji. Są to przemówienia nie tylko zachowawcze w sensie doktrynalnym, ale i politycznym, zważywszy, że niejednokrotnie obfitowały w ataki wprost antysocjalistyczne, nie mające wiele wspólnego z wiarą i religią.

Przedstawiciele zachowawczego nurtu w polskim episkopacie twierdzą czasem, że podziały na konserwatystów i reformatorów były urojone, że są wymysłem niektórych dziennikarzy. Trzeba wyrazić zdziwienie, że np. w radiowym przemówieniu kardynała Wyszyńskiego z 5 grudnia 1965 r. uznał on, iż „dzielenie biskupów na postępowych i konserwatywnych... nie ma znaczenia i staje się niezrozumiałe", podczas gdy każdy dzień obrad soborowych podział ten potwierdzał, a większość teologów, biskupów i kardynałów stosowała tę terminologię w praktyce. W tymże przemówieniu kardynał Wyszyński dając wyraz swojego złego humoru wobec prasy narzekał, że „wśród dziennikarzy nie było ani jednego teologa", więc "nie rozumieli Soboru". Tak jakby na każdym Soborze, a zwłaszcza na tym mającym znaleźć wspólny język z ludźmi niewierzącymi, z całym światem, chodziło tylko o teologów...

IGNACY KRASICKI

na wprost

ECHO — SONDA

Marek jest dzieckiem miłości. Ogłasza to wszem i wobec odkąd zwierzenia na linii Mamusia — Ciocia, dotarły do jego małych uszek. Jeśli więc Małgośka znowu się pochwali tatą-pijakiem, Marek natychmiast zakasuje ją swoim pochodzeniem. I w rezultacie, cały splendor przedszkolnej społeczności spłynie na niego. Może tylko zaimponować im obojgu Jacek od starszaków, gdy zapowie, że on już wie, „jak się ludzie kochają".

Rodziców przychodzących „po odbiór" dzieci pani przedszkolanka wita zawsze uśmiechem. Czasami wstępne uśmiechy zamieniają się w rozmowę na osobności i wtedy rodzic wychodzi z przedszkola z rzadką miną. Coś podobnego, nie do wiary! Szarpany za kołnierz przedszkolak nie wie jeszcze, o co chodzi i czemu mama dziś taka zła. Dowie się, „jak tata się dowie", co on mówi w przedszkolu i jak brzydko się wyraża. Ależ to dziecko głupie, panie wszystko o nas wiedzą! I biednemu przedszkolakowi oburzeni rodzice wklepują rozum do... głowy. Prawda o nich samych nie powinna bowiem przeciekać poza mury warowni zwanej mieszkaniem. Mama i tata wstydzą się bardzo, ale tylko na zewnątrz. W domu czują się swobodnie, ale wolą, by przejawy tej „swobody" nie miały świadków.

Nazwa „domowy szpieg" dotrze na drugi dzień do pani, bo dziecko się jej zwierzy z przykrości, jakiej doznało w domu. Jak zwykle też opowie koleżankom i kolegom, co wydarzyło się w domu, podczas wizyty, co usłyszało i zobaczyło. Pochwali się zarówno nową zabawką od babci, jak i tym, że „dobra" mamusia pozwoliła mu oglądać film ze strzelaniem, „a tobie nie". Na zaczepki kolegów odpowie tak samo jak tatuś — czyli, w które miejsce mogą go pocałować. I nie może zrozumieć, dlaczego pani przedszkolanka krzyczy na niego i mówi, że bardzo brzydko jest tak mówić. Straszna z niej cholera — osądzi — zupełnie jak ta sąsiadka z trzeciego piętra. To przecież mamusia tak powiedziała, proszę pani...

A swoją drogą, przykro, że ta „echo-sonda" czasem nie skłamie...

W oczekiwaniu

Fot. M. KOPEĆ

PICASSO I JEGO GRAFIKA

W diariuszu wybitnych wydarzeń kulturalnych w naszym kraju wystawa grafiki Pablo Picassa w salach Muzeum Narodowego w Warszawie zajmie wybitne miejsce. Wielokrotnie pisałem o twórczości tego wspaniałego, a przy tym dla wielu tak jeszcze spornego artysty, który wywarł i wywiera olbrzymi wpływ na sztukę współczesną. Picasso, o którym się zwykło mawiać, iż się ciągle zmienia, a jednocześnie prezentuje przy każdej transformacji form, zawsze tę samą niepowtarzalną osobowość twórczą. Jeden i ten sam temperament o identycznych sposobach reakcji — ta sama poetyka, żarliwość i ten sam nieujarzmiony zmysł ciągłej improwizacji.

Wszystko to nadzwyczaj wyraźnie widać na warszawskiej wystawie grafiki. Owe około stupięćdziesięciu prac, litografii, akwafort, linorytów, jest w twórczości Picassa zaledwie drobnym fragmentem twórczości. Picasso to bowiem przede wszystkim malarz, potem rzeźbiarz, ceramik, scenograf, projektant tkanin. Ale we wszystkim co robi posiada umiejętność intymnego, osobistego wypowiadania się.

Picasso jest jednym z artystów o pasjonującej biografii. Nędza w młodości, niezmierne w latach dojrzałych bogactwo, wieczna buntowniczość, skłonność do ekstrawagancji, a przy tym pryncypialność w sprawach społecznych i politycznych, o czym świadczy jego przynależność do partii komunistycznej. A więc Picasso fascynuje też swoją biografią. Ale ta biografia Picassa jest równocześnie jego twórczością. Każdy wątek biograficzny jego życia zostaje przezeń zapisany plastyczną formą. Każdy zachwyt, każdy kaprys, wielkie i małe miłości, przyzwyczajenia i zachcianki, refleksje i obserwacje są utrwalone. I to właśnie widzimy w tych grafikach stanowiących, jak już podkreśliłem, zaledwie fragment jego twórczości. Wiemy z nich, jakie kobiety kochał, jakim uczuciem darzył swe dzieci, jakimi obrazami się zachwycał, jakie mity go poruszały, jak uwielbia corridę, jak ważne są dlań sprawy płci, mówiąc inaczej „sexu".

Picasso jest artystą ogromnej odwagi. Nie dlatego, że robi rzeczy skrajne, ryzykowne, ale dlatego, że robiąc te rzeczy skrajne, eksperymentalne, ryzykowne nie boi się jak gdyby cofać wstecz, sięgać do zdawałoby się wyczerpanego arsenału środków, do prostoty najzwyczajniejszej. Picasso, jak prawie wszyscy najwięksi artyści w historii sztuki, nie dba o czysto zewnętrzną urodę swych obrazów. Ma pewność, że zjawia się ona zawsze wtedy, kiedy dzieło posiada siłę ekspresji, siłę oddziaływania. I tak też jest w rzeczywistości.

Nie pasjonuje się też jako grafik Picasso warsztatem, alchemią techniczną, nie stopniuje magii efektów. Przemawia prosto, najprościej, ale przez to jest wstrząsający, ekspresyjny, a także — prawdziwy. To znaczy umiejący wzruszyć, wzburzyć, odebrać równowagę. Picasso nie pozostawia widza obojętnym i dlatego jest tak wielkim artystą. I o tym po raz nie wiadomo który przekonuję się obcując z jego dziełami.

Warszawska wystawa grafiki Picassa jest więc manifestacją wielkiej i prawdziwej sztuki, manifestacją, która nie zdarza się zbyt często i która na długo pozostanie w naszej pamięci.

IGNACY WITZ

NOWY NUMER „KAMENY"

Ukazał się ostatnio nowy, podwójny numer Kameny, organu społeczno-kulturalnego czterech wschodnich województw. Zawiera on sporo interesującego materiału literackiego i publicystycznego. Między innymi interesujące reportaże zagraniczne Mirosława Azembskiego: „Kłopoty zamorskiej Szwajcarii" i Anny Tatarkiewicz: „20×camping". Z reportaży krajowych na uwagę zasługuje Tadeusza Wiącka „Inżynierek nie do tańca" oraz Wiesława Barańskiego i Bogusława Rajcherta „Panowie uciekajcie". Prozę artystyczną reprezentuje duże opowiadanie młodego prozaika z Przemyśla Adama Janusza Brenia pt. „Wróżby" oraz fragment powieści Adolfa Lekkiego: „Szukam mordercy". Poza tym sporo jak zwykle wierszy, interesujących artykułów, komentarzy i recenzji. Na szczególne zalecenie czytelnikom zasługuje dyskusyjny artykuł Andrzeja Malinowskiego: „Zagubieni w atomach" dotyczący zagadnień popularyzacji nauki oraz rozprawka Adama Andrzeja Witusika. „Twierdza Zamość". Interesujący i bogaty numer pisma zamyka kolumna doniesień, anegdot, ciekawostek i rycin z prasy lubelskiej z początków naszego wieku, słowem — „Lublin i świat sprzed 65 lat".

J. G.

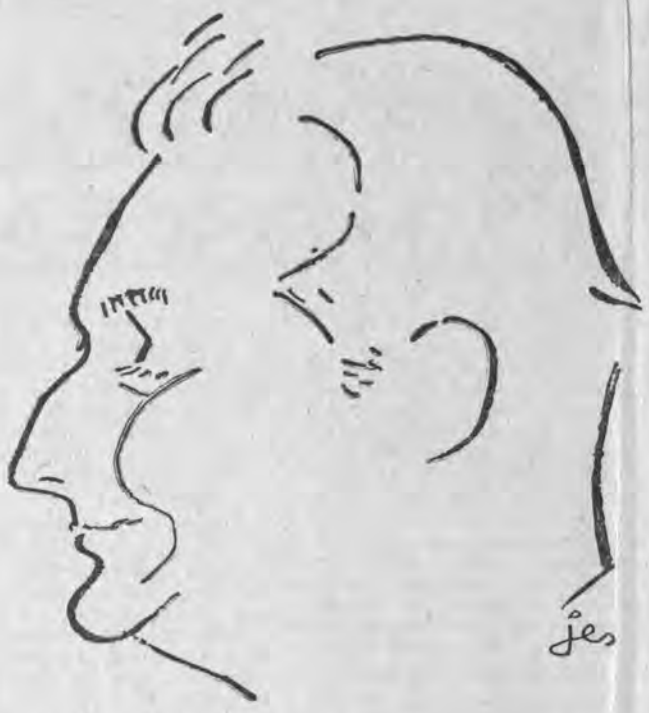

JERZY WAWRZASZEK — DZIENNIKARZ — 15 lat pracy zawodowej.

rys. J. SIENKIEWICZ

POLONICA KULTURALNE

O polskiej literaturze proletariackiej

MOSKWA. W Kijowie ukazała się książka Walerii Wiedinej zatytułowana „Polska proza proletariacka dwudziestolecia międzywojennego". Książka poświęcona jest twórczości takich pisarzy, jak Wanda Wasilewska, Bruno Jasieński, Leon Kruczkowski, Władysław Kowalski, Lucjan Rudnicki i inni. Autorka kreśli także obraz polskiego środowiska literackiego tamtych lat.

W. Wiedina jest autorką książki „Związki literacko-społeczne pisarzy proletariackich Ukrainy zachodniej i Polski w latach 20 i 30", a także studium poświęconego wczesnym utworom Stefana Żeromskiego oraz artykułów o współczesnej literaturze polskiej.

Wystawa Włodzimierza Zakrzewskiego w Bergamo

RZYM. W Galerii La Garitta w Bergamo otwarto wystawę prac znanego polskiego malarza Włodzimierza Zakrzewskiego. Ekspozycja obejmuje 36 pejzaży z Włoch i Francji. Patronat nad wystawą objął ambasador PRL we Włoszech Adam Willmann. Jest to już trzecia w tym roku, po Paryżu i Warszawie, wystawa tego artysty. W przygotowaniu jest wystawa w Rzymie.

Prof. Mario Monteverdi z Mediolanu w bogato ilustrowanym katalogu wystawy wysoko ocenia twórczość Zakrzewskiego, stawiając go w rzędzie najwybitniejszych polskich malarzy.

Polski plakat teatralny i filmowy w Jugosławii

BELGRAD. W Zagrzebiu otwarto wystawę polskiego plakatu filmowego. Jak podkreśla miejscowa prasa, plakaty filmowe polskich artystów należą dziś do najbardziej interesujących w świecie ze względu na swe rozwiązanie graficzne i bogactwo pomysłów.

W foyer Teatru Narodowego w Splicie czynna jest wystawa polskiego plakatu teatralnego. Ekspozycja cieszy się dużą frekwencją.

Wywiad z Andrzejem Wajdą w „Litieraturnej Gaziecie"

MOSKWA. „Litieraturnaja Gazieta" zamieszcza wywiad ze znanym reżyserem polskim Andrzejem Wajdą, który uczestniczył w Zjeździe Filmowców Radzieckich.

„Inostrannaja Litieratura" o książce Machejka

MOSKWA. W serii recenzji z książek wydanych za granicą, miesięcznik „Inostrannaja Litieratura" zamieścił ostatnio obszerne omówienie książki Władysława Machejka „Wypiękniałaś w lesie" (wydawnictwo MON, 1964). „Surowa proza Machejka — pisze autorka recenzji N. Sokołowska — oddaje w sposób sugestywny atmosferę tamtych okrutnych czasów".

Wieczór poświęcony teatrowi polskiemu w Oslo

OSLO. W związku z obchodami 200-lecia sceny narodowej Towarzystwo Norwesko-Polskie urządziło wieczór poświęcony historii teatru w Polsce.

Na program wieczoru złożył się odczyt mgr Krzysztofa Seligi uzupełniony występem aktorów Det Norske Teatret — Svein Erik Brodala oraz Birger Thorn — Paulsena. Spotkanie zakończył pokaz polskich filmów poświęconych tematyce teatralnej i życiu kulturalnemu w naszym kraju. Na wieczorze obecni byli przedstawiciele norweskich kół teatralnych, aktorzy oraz studenci wyższych szkół artystycznych w Oslo.

zdarzenia tygodnia

Ostatnio ukazała się wydana nakładem Towarzystwa Nauk w Przemyślu monografia „Z przeszłości Radymna" którą opracował dr Kazimierz Gottfried.

Autor, dyrektor Muzeum w Jarosławiu przedstawił na 180 stronicach historię Radymna, tego liczącego już 600 lat miasta.

• • •

W świetlicy WKZZ przy placu Zwycięstwa w Rzeczowie czynna jest wystawa prac, plonu ogłoszonego w br. konkursu plastycznego dla dzieci pt. „Mój kraj".

Z nadesłanych ponad 500 prac komisja wybrała 108, które są obecnie eksponowane. Najlepsze prace prezentowały: Szkoła Podstawowa nr 12 Rzeszów Staromieście, ogniska plastyczne ZDK Huty „Stalowa Wola", Zakładów Chemicznych w Sarzynie i WSK w Mielcu. Wystawa czynna będzie do 10 stycznia i radzimy obejrzeć obraz naszego kraju, widziany oczyma najmłodszych obywateli.

• • •

W Radomiu otwarta została „II Wystawa 4 Województw" — Białystok, Kielce, Lublin i Rzeszów, będąca pokazem dorobku artystycznego plastyków tych województw.

Rzeszowszczyznę reprezentuje 10 autorów (15 prac malarskich, 4 grafiki i 2 rzeźby).

• • •

Ukazał się kolejny „Rocznik województwa rzeszowskiego" za lata 1962 i 1963, wydany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie.

Jest to już czwarty tom rocznika, zawierający prace, poświęcone głównie rozwojowi oświaty, kultury w województwie rzeszowskim w 20-leciu Polski Ludowej. Tom ukazuje rozwój szkolnictwa artystycznego, rolniczego, dla pracujących, zakładów kształcenia nauczycieli, szkolnictwa wyższego w Rzeszowie oraz niektórych instytucji i placówek kulturalnych.

• • •

Z inicjatywy KP PZPR w Nisku odbyło się spotkanie działaczy kulturalnych, którzy omówili możliwości powołania w tym mieście towarzystwa miłośników ziemi niżańskiej oraz potrzebę urządzenia stałej ekspozycji muzealnej. Wyłoniony zespół działaczy zajmie się sprawami związanymi z powołaniem towarzystwa oraz gromadzeniem zbiorów do przyszłej ekspozycji muzealnej. Życzymy powodzenia w realizacji ambitnych zamierzeń.

• • •

Podstawowe pojęcia marksistowskiej psychologii, postęp pedagogiczny, doskonalenie samokształcenia nauczycieli oto m. in. tematyka, której poświęcono seminarium dla przewodniczących rejonowych konferencji pedagogicznych okręgu rzeszowskiego. Seminarium, zorganizowane przez Zarząd Okręgu ZNP odbyło się w dniach 29—30 bm.

• • •

„Informator Muzeum Okręgowego w Rzeszowie" to kolejne wydawnictwo tej placówki muzealnej. Zadaniem publikacji jest ukazanie form pracy oświatowej, prowadzonej przez Muzeum dla ewentualnego wykorzystania ich przez placówki kulturalno-oświatowe, szkoły i instytucje. Informator zawiera wykaz ekspozycji stałych tej placówki, wystaw czasowych oraz przedstawia pracę naukowo-badawczą i kontakty z innymi muzeami. Pod hasłem popularyzacji sztuki i zagadnień muzealnych placówka prowadzi również akcję odczytową na miejscu i w różnych ośrodkach naszego województwa.

KALENDARZ NA CHLEBIE ZNACZONY

Hej, łza się w oku kręci od najprzeróżniejszych wspomnień i wspominków, w które szczególnie obfituje okres świąteczno-noworoczny. Sprzyjają im częstsze w tych dniach roku spotkania przyjacielsko-towarzyskie, sprzyjają im „zjazdy" rodzinne z okazji ślubów lub ich rocznic. Bo jakoś tak się składa, że ostatnie lub pierwsze dni roku wielu młodych ludzi wyznacza sobie na rozpoczęcie wspólnej drogi życiowej.

Wesele. Bywają i dziś takie wesela, po których w domu panny młodej rodzina czuje się jak po pożarze. Ruina finansowa i długi po uszy... na niejeden rok. Do niedawna niesławne staropolskie „zastaw się a postaw" panowało wszechwładnie, obecnie dzięki rozsądkowi tak młodych, jak i starszych — coraz rzadziej.

Ale nie psujmy sobie zabawy, bo nie o cudze pieniążki mi idzie.

W dniach „wspomnień" pan Jacek Joterski z Brzozowa wrócił pamięcią do sztuki dawnych mistrzów piekarskich. A jest o czym mówić, bo nie znajdziesz teraz mistrza, któremu chciałoby się wieloletnie doświadczenia, niejednokrotnie wsparte tajnikami wypieku przekazywane z ojca na syna, lub przez majstra tylko wybranemu uczniowi, „wezwać" do pomocy w wyprodukowaniu chociażby takiego korowaja na stół świąteczny albo weselny. Wielkość korowaja uzależniała kiesa zleceniodawcy: od 2 do 20 funtów (1—10 kg). Korowaj był to okrągły bochen chleba pszennego oplecony kryzą o 52 nacięciach, a środek zdobiło 7 „kugli". Każde nacięcie kryzy oznaczało tydzień, bochen — rok, natomiast kule — dni tygodnia. Tak więc korowaj był jakoby kalendarzem znaczonym na chlebie i z tej racji umieszczano go na honorowym miejscu. Ozdabiano go wstążkami i zielenią mirtu, rozmarynu i bukszpanu. Do weselnego korowaja dochodziły jeszcze szyszki, po jednej dla każdego drużby oraz specjalna dla gospodarza uroczystości. Osadzona na lasce była symbolem jego władzy.

Trzeba było być nie lada mistrzem, aby taki „bocheneczek" na 10 kg wypiec, by był dorodny, smaczny i bez zakalca.

Na świąteczne stoły zamawiano ogólnie strucle zwane „darami". Strucle ważyły do 22 funtów i w jednym piecu mieściły się najwyżej 4. Miały one do 2 m. długości, były smarowane żółtkami, więc pobudzały apetyt połyskliwą, chrupiącą skórką. Wypiek strucli trwał przeciętnie 10 razy dłużej od zwyczajnego pieczywa.

Do historii Cechu Piekarzy w Brzozowie, który zlikwidowano w 1911 r. wszedł korowaj w obwodzie równym gospodarskiej dzieży i „pan" wielkości postawnego mężczyzny, bo „wzrost" jego wynosił... 190 cm. Aby „pana" z ciasta dostarczyć do domu panny młodej bez uszczerbku, skonstruowano specjalne nosze.

* * *

Dzieła mistrzów piekarskich przetrwały w pamięci starszych ludzi i w miniaturach, które można jeszcze zobaczyć w muzeach regionalnych. Wybór był ogromny, bo każdy warsztat piekarski chciał zasłynąć oryginalnym pieczywem i w ten sposób utrwalić nazwisko mistrza u klientów, zwerbować ich na stałych nabywców. Z dawnych rodzajów wypieku wszystkie konkurencje przetrwały bodajże tylko precle i cieszą się dziś takim samym popytem, jak za czasów ostatniego cechmistrza piekarzy brzozowskich Antoniego Rogowskiego, który przed 40 laty z nawiązką pożegnał na zawsze ten najlepszy ze światów, jaki znamy.

M. G.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa", Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2656, 2657 — wewn. 193 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.